6 NUMER. MARZEC 1909. ROK I.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

ROCZNICA.

(Wobec zamierzonego przewiezienia do kraju zwłok Juliusza Słowackiego).

Zostawcie tam — w dalekiej, obcej ziemi
Tych prochów garść. I obchodami czczemi
Nie urągajcie im! — — — Gdy skarga głucha,
Gdy kajdan brzęk — nie wszystkim krwawią ducha,
Poety trup — zbyteczny tu... pył zgniły
Nie zbudzi rzesz... do czynu nie powoła
I w zwycięstw laur nie przyozdobi czoła.

* * *

Gdy wokół nas ruiny i mogiły,
Gdy zamarł duch, niszczony zwątpień pleśnią,
Nie z trumną iść i z pogrzebowym kirem
W grobowy mrok... lecz z żywą Jego pieśnią
Przebiegać kraj i myśli Jego wirem
Serc ostrzyć stal — — — A kiedy lud Go pozna,
Jawi się moc — fatalna... a tak groźna,
Że pryśnie głaz, co wieko trumny trzyma
I wstanie On — znów żywy przed oczyma!

Kraków.

Jan Szymański.

Kilka słów w sprawie muzeum etnograficznego.

I.

Kto nie zwracał uwagi na to, jaki przewrót powoduje ustrój kapitalistyczny, nie tylko w sposobie zarobkowania, ale i w dziedzinie zarówno duchowej jak i materjalnej kultury ludności, zwłaszcza wiejskiej, ten zupełnie nie jest w stanie ocenić doniosłości, rzuconej w tych dniach myśli o utworzeniu muzeum etnograficznego. Myśl to raczej spóźniona niż przedwczesna, bo literalnie z dnia na dzień odbywa się zmiana a raczej zanik wszystkiego, co do niedawna stanowiło różnicę pomiędzy jednym narodem a drugim. Jak chrześcijanizm onego czasu spowodował zanik starodawnej wiary i obecnie zaledwie na podstawie przeżytków w postaci pewnych przesądów, zabobonów i obrządków jesteśmy w stanie ją tylko do pewnego stopnia odtworzyć, tak kapitalizm narzuca ludności nowe pojęcia, nowe pieśni, nowe ubiory, nowe narzędzia pracy.

Czego dziś nie ocalimy, tego jutro już ocalić nie będziemy w stanie. Kiedy inne narody na podstawie swych zbiorów, skrzętnie i skrupulatnie gromadzonych w muzeach, będą w stanie wykazać, jakimi był ich udział w ogólnym dorobku kulturalnym ludzkości, my bodaj, że jedyny pod tym względem będziemy stanowić wyjątek, bo sprawę tę — może ze względów bardzo poważnych — w to nie wchodzę — zupełnie zaniedbaliśmy. Nie mówiąc już o słynnych muzeach w Londynie, Paryżu, Wiedniu, Berlinie i Rzymie, godzi się zauważyć, że nawet w tak drobnych ogniskach kultury jak Helsingfors, Ryga, Irkuck, Tomsk, Czyta i Minusinsk istnieją muzea etnograficzne, mające olbrzymie znaczenie zarówno dla nauki jak i dla obywateli danego kraju, a we Francji słynne kantonalne muzea, stanowiące, że się tak wyrażę „Księgę żywota“ kantonu zostały zapoczątkowane przez Edmunda Groult'a jeszcze 33 lata temu. Muzea te, któreśmy za wzór sobie postawić winni, są nietylko utworzone dla ludności kantonu ale i przez nią: każdy mieszkaniec kantonu wziął ten lub inny udział w ich utworzeniu.

Zwykli sceptycy w takich wypadkach powołują się na różnice kulturalne, na wyższy poziom umysłowy narodu francuskiego. By ten argument odeprzeć pozwolę sobie powołać się na przykład miasta, a raczej miasteczka znajdującego się u podnóża gór sajańskich, na przykład Minusińska, w którem od 32 lat istnieje założone przez zmarłego przed kilku laty Mikołaja Mantjanowa muzeum, stanowiące dorobek całej ludności. Zarówno osiedleniec — poszukiwacz złota, jak tuziemiec miejscowy, włościanin, mieszczanin, kupiec, urzędnik, wygnaniec polityczny, nawet pop — wszyscy muzeum to uważają za swoje i nieraz z niebezpieczeństwem życia ze szczytów gór sajańskich przynoszą do muzeum sprzęt, kamyk lub mech, jakich w swej „muzei“ nie widzieli. Kosztowało to wiele pracy, wysiłków i energji, ale ta praca opłaciła się: muzeum minusińskie obecnie już posiada rozgłos wszechświatowy.

Czytelnicy mi wybaczą, że poruszając sprawę muzeum we Lwowie, zboczyłem aż na brzegi Jenisieja, ale z całej duszy pragnąłbym przekonać każdego z czytelników, że w tej tak ważnej sprawie każdy może i powinien wziąć udział, że apel komitetu wystawowego nie wyłącznie do poszczególnych osób, posiadających te lub inne zbiory się stosuje, że te zbiory prywatne są kroplą w morzu potrzeb muzealnych, że w tym wypadku bardziej może niż kiedykolwiek „miarka“ się zbierze z ziarnek składanych przez poszczególne jednostki. Ogromną rolę mogą tu odegrać nauczyciele ludowi zarówno bezpośrednio, jak pośrednio przez pouczanie włościan o znaczeniu zbiorów muzealnych, przez zachęcanie ich do oddawania do muzeum rzeczy i przedmiotów nieraz zgoła wcale im nie potrzebnych. Obawa, że takie rzeczy lub przedmioty już się w muzeum znajdują, niema najmniejszej racji bytu, bo zbytecznych przedmiotów w muzeum być nie może. Jedna przysłana sukmana może służyć jako wzór ubioru, druga — rozpruta na części, jako wzór kroju, trzecia może figurować w dziale ornamentyki, czwarta w dziale przemysłu domowego itd., że już pominę sprawę wymiany zbiorów swojskich na zbiory obce, co dla działu etnografji porównawczej byłoby wręcz skarbem nieocenionym.

Już z tego cośmy dotąd powiedzieli wynika, że powodzenie sprawy zależy przeważnie od dobrych chęci zarówno całego ogółu ludności jak i poszczególnych jednostek. By jednak te dobre chęci nie poszły w niwecz przez to, że każda poszczególna jednostka nie wie, czem by się mogła do utworzenia muzeum przyczynić, pozwolimy sobie udzielić pod tym względem kilka rzeczowych wskazówek.

Feliks Kon.

WSPOMNIENIE Z ROKU 1863.

ADAŚ PUSŁOWSKI.

Ojciec Adasia Antoniego, dwóch imion Pusłowskiego, p. Jan Pusłowski był ożeniony z Giełgudówną, po śmierci swej pierwszej żony poślubił p. Ewelinę Obuchowiczównę, bogatą dziedziczkę. Dostała ona w posagu piękne dobra ziemskie, położone w ziemi Nowogródzkiej, w tej okolicy, która była ongiś własnością W. K. Witołda. Główny folwark nosił nazwę „Sienna“, tu był dom obszerny, drewniany na podmurowaniu, zbudowany według wzoru t. zw. dworków litewskich. Bliskość Niemna, żyzność pól uprawnych, obfitość łąk, pozwoliły p. J. P. prowadzić gospodarkę wzorową, a zarazem i zawiązać handlowe stosunki z Królewcem. Z pierwszego małżeństwa miał p. J. P. troje dzieci: syna Stanisława i dwie córki, z których jedna wydana była za Wysockiego, druga za hr. Mikołaja O'Rourke. Z drugiej żony miał córkę i syna, pierwsza zmarła w wieku dziecięcym, pozostał u p. Eweliny syn jedynak Adaś; był to chłopak zdolny, ładny, lecz przedewszystkiem dobroci serca i ofiarności niezwykłej, to też był ulubieńcem nietylko rodziców, lecz też i całego sąsiedztwa. Po ukończeniu gimnazjum udał się Adaś za granicę do Krakowa. Na pierwsze wezwanie młodzieży, ażeby stanęła w szeregach, walczących na Litwie, wrócił do domu i tu wyruszył do partji, która miała się organizować w lasach Nalibockich. Dowództwo nad tą partją miał objąć D o b o s z y ń s k i, a jako punkt zborny wyznaczono D e r e w n ę, sąsiadującą z Nalibokami.

Mijały dnie i tygodnie, Doboszyńskiego i transportu broni napróżno wyglądano. Kilkunastu młodzieży biwakowało w lasach okolicznych. Na trzeci dzień świąt Wielkiejnocy st. st., partyjka t. z. Nowogródzka znudzona ciągłem wyczekiwaniem, zawitała do dworu w Derewnej, gdzie mieszkał podówczas stryj mój Władysław. Chłopcy chcieli się dowiedzieć o przyczynach zwłoki w objęciu dowództwa i dostarczeniu broni. Posiliwszy się we dworze i zabrawszy pewną ilość prowizji wyruszyli napowrót do puszczy Nalibockiej. Tego samego dnia ku wieczorowi wpadł do dworu pościg, złożony z kompanji żołnierzy, wiezionych na furmankach wioskowych. Nie znalazłszy już nikogo, ani powstańców ani mieszkańców stałych, pościg wyruszył dalej.



Dwór w Siennej na Litwie.

Po kilku dniach odebrano wieść smutną, że wojsko, spieszące z dwóch stron, otoczyło w lesie obozowisko powstańców, że zabito dwóch z mło-

dzieży, zaś kilkunastu innych wzięto do niewoli; pomiędzy tymi ostatnimi znajdował się Adaś Pusłowski. Akt ten heroiczny wojska rosyjskiego nazwano „rozbiciem partji nowogródzkiej“. Naczelnikiem wojennym w Nowogródku był podówczas pułkownik Czertow, pomocnikiem jego był naczelnik kozaków Czornozubow, obydwaj zasiadali w komisji śledczej. Jak owa komisja przedstawiła do wyższej władzy sprawę „rozbicia partji“, niewiadomo. Na miejscu wiedziano tylko tyle, że wojsko naprowadzone przez szpiegów otoczyło znienacka kilkunastu obozujących. Tych, którzy się ratowali ucieczką zastrzelono, resztę powiązano i zapędzono do Nowogródka.

W sierpniu po kilkomiesięcznym areszcie i więzieniu Adasia i jego towarzyszy p. Jan Pusłowski przywiózł był odzienie, bieliznę etc. synowi, oczekującemu rychłego wywiezienia do Wilna, gdzie miało nastąpić ogłoszenie wyroków. Widział się p. Jan z synem i miał tego samego dnia wracać do domu.

Nagle o godzinie 6-tej wieczorem wpadł do więzienia oficer z rozkazem, ażeby Adaś gotował się do wyjścia; ten sądząc, że go wzywają do komisji śledczej, obradującej w gmachu „podominikańskim“, gdzie było dawniejsze gimnazjum, do którego uczęszczał Adam Mickiewicz — szedł wesoły w otoczeniu żołnierzy, gdy wszakże zamiast



Mogiła matki i syna: Eweliny i Adama Pusłowskich w Siennej.

Nieletność i bezbronność wziętych do niewoli stanowiły niejako gwarancję, że cała sprawa skończy się co najwyżej zasądzeniem „winnych“ na Syberję.

Ciotka Adasia, siostra p. Eweliny, P., generałowa Ejsmontowa, mająca szerokie stosunki w sferach wyższej administracji w Petersburgu, bagatelizując fakt uwięzienia siostrzeńca, pominęła niższe instancje, wyruszyła wprost do stolicy, powiadając „że woli kłaniać się głowom, aniżeli ogonom“.

Rodzice Adasia, ufając staraniom generałowej, nie przedsiębrali ze swej strony żadnych kroków na miejscu, jakkolwiek wiedzieli, że p. Czertow ...zy na łapowe.

iść ulicą na prawo ku „Dominikanom“, zwrócono raptem na lewo do zaułku smoleńskiego, zapytał Adaś dokąd go wiodą? Jeden z żołnierzy powiedział „idiosz na smiert'“. Tę odpowiedź żołnierza uważał Adaś za żart moskiewski, bo nie przypuszczał, jak to następnie mówił swemu spowiednikowi, ażeby go bez wyroku na śmierć prowadzono.

Dopiero gdy się zagłębiono w pusty zaułek bez zabudowań, spostrzegł Adaś u podnóża wzgórzystego jaru, jak wkopywano z pośpiechem słup, wyjęty z pobliskiego ogrodzenia i kopano jamę u stóp słupa, przytem był tu już ksiądz dziekan nowogródzki Ejmunt, a zarazem oddział sołdatów, ładujących broń. Teraz dopiero zrozumiał, że

go tutaj mordować mają. Księdzu nie pozwolono spowiadać, kazano tylko „pobłogosławić“ Adasia i dano tyle czasu, że skazany mógł zakomunikować księdzu, iż go nie uprzedzono o tem, że go wiodą na śmierć, że myślał, gdy mu żołnierz mówił o smierci, iż żartuje z niego, lecz i teraz nie odczytano wyroku. Dwóch żołnierzy na znak dany przez oficera, chwyciło brutalnie Adasia pod pachy, zaprowadzono pod słup, skrępowano mu ręce w tył i przywiązano sznurami do słupa. Adaś prosił, by mu nie zawiązywano oczu, nie usłuchano tej prośby, zawiązano mu oczy chustką, wyjętą z kieszeni oficera. Następnie kazano sołdatom przystąpić tak blisko do mordowanego, że prawie bagnetami dotykano jego ciała. Zakomenderowano ognia i po strzałach, brocząc krwią, ciało martwe zawisło na sznurach u słupa.

Z jakimś niezwykłym pośpiechem wyrwano słup, by go umieścić napowrót w parkanie, zaś ciało Adasia wraz ze sznurami i chustką oficera wrzucono do niegłębokiej jamy; zarównano ziemię i jakby uciekający z miejsca popełnionej zbrodni mordercy, opuszczono teren kaźni, nie stawiąc żadnego szyldwacha, jak to bywa w takich razach po rozstrzelaniu ofiary. Ojciec Adasia zawiadomiony o morderstwie dokonanem, postarał się o wykradzenie zwłok nieszczęśliwego syna swego. Wykradzione zwłoki ukryto w katakombach fary Nowogródzkiej w wielkiej tajemnicy. Dopiero gdy matka Adasia p. Ewelina Pusłowska czuła się bliską śmierci, poleciła swej zaufanej pannie Lange, ażeby po zgonie sporządzono trumnę obszerną i pochowano ją wraz z synem.

Pani Ewelina Pusłowska zmarła w roku 1880 31. maja. Nad wspólną mogiłą matki i syna wznosi się pomnik w Siennej, którego fotografję podajemy tutaj.

Dzisiaj Sienna jest już rozparcelowana, pomnik padnie ofiarą barbarzyństwa, to jest rzeczą łatwą do przewidzenia, bo ogrodzenie żelazne jest to materjał, który daje się łatwo spieniężyć na rzecz „monopolu“.

O morderstwie Adasia nie doniesiono do zarządu parafji Niekniewickiej i w księgach metrykalnych żyje on dotąd, jak żyje i żyć będzie w sercach ziomków swoich. *Dr. B. Dybowski.*

MALUCZCY.

(Ciąg dalszy.)

Jak prosto, a jednak jak zupełnie niezwykle przyszliśmy ku sobie. Tysiące innych spotkań — żywszych, pamiętniejszych, silniejszych — a rozwiały się potem kędyś, że tylko uśmiech wspomnienia po nich pozostał; a to jedno przywarło i pozostało; sama śmierć nie zdołała go zniszczyć. Może właśnie śmierć...

Byłam zupełnie młodą; widziałam jeszcze tak mało ludzi. Nic obchodzili wcale mię ludzie; o wiele więcej zajmowały mię kwiaty.

Nie wiem dlaczego, zawieziono mię na jakąś zabawę, gdzie bawili się dorośli. Ale był tam brat — jednego prawie byliśmy wieku — i brata kochałam ogromnie. Tańczyliśmy z równym zapałem jak starsi; czyniono o nas pochlebne uwagi; słyszałam je, bawiły mnie — byłam zadowolona sobą i dumna z brata. Zresztą mało mnie obchodziło, co się działo dokoła. Żywy ruch, wir tańca, muzyka — a nadewszystko te lat szesnaście, takie promienne, takie motyle, cały świat w tęcze mieniące się przeistaczające... Nie pamiętam siebie, ale było mi jakoś dziwnie śpiewno.

I naraz — między jednym tańcem, a drugim, gdzieś w zdyszeniu przypadłą do krzesła — ujęło to spojrzenie.

Przez całą szerokość sali biegło ku mnie, szafirowe, bijące iskrami, przenikające, wysłane z jakimś nakazem, z jakiemś słowem ogromnem, które coś mi wieściło. Było bardzo poważne, było smutne — czy mnie wołało? nie wiem.

Wstałam zupełnie bezwiednie; uczyniłam kilka kroków ku niemu. Co ja robię? — opamiętałam się; odwróciłam się szybko od tych oczu, nierada z siebie i z nich. Cóż mi tam znaczy? odeszłam — ale czegoś zechciało mi się być bliżej matki. Tańczyłam jeszcze — ale często wracało mi pytanie: czego odemnie chciały te oczy?

— — — — — — — — — — — — — —

Długie dni, długie czasy — w młodości czas taki długi! — nie widziałam, nie słyszałam o nim

wcale. Zresztą, nie obchodził mię zupełnie, na ogół nie pamiętałam, czy żył kiedy.

Niekiedy tylko — bardzo rzadko — przychodziło mi na myśl to zagadkowe spojrzenie i mówiłam sobie: to dusza jego szła ku mnie z jakimś nakazem; nie zrozumiałam nakazu; czy wróci kiedy?

— — — — — — — — — — — — — —

Przybył do naszego domu, jako pracownik. Był taki cichy, usuwający się w cień, prawie zawsze milczący. Przy naszej swobodnej, hałaśliwej trochę młodości, nikł zupełnie bez echa. Nie brał nigdy prawie udziału ani w naszych zajęciach, ani w zabawach, tem mniej w pustocie. Rzadko nawet go widywaliśmy; przychodził od pracy najczęściej tylko do stołu. W domu, w gronie naszem, zajmował najbardziej nieznaczne miejsce; zdawało się nieraz jakby go nie było. Musiałam zapewne nieraz na niego patrzeć i nieraz go słyszeć, ale nie pamiętam, czy go widziałam lub czy go słuchałam kiedy. Nie istniał dla mnie.

— — — — — — — — — — — — — —

Są ciche, perłowo-mgławe dni letnie, w których słońce niewidzialne sączy przez białe opony obłoków ciepło parne, bez promienia i bez powiewu. Zdaje się wówczas, że po długich gorącach, gdzie przyroda pracowała podwójnie, wszelka czynność zawiesza się na chwilę i wydajna ziemia odpoczywa, zmęczona rodzeniem. I życie duszne, co w słoneczne dnie letnie tętniało gorąco i szybko, przycicha, skupione w sobie, zamyślone, marzące... Snują się w myśli wspomnienia; co smutne, ostre, pokrywa się słodyczą przebaczenia, co pożądane namiętnie, westchnieniem tęsknoty się ucisza i bez żywszych uczuć, pragnie się tylko czyjąś dłoń uścisnąć przyjazną, uśmiechnąć się do kogoś, powiedzieć komuś: czy pamiętasz? W takie dni wonie płoną słodziej i pieśń skowronka głośniej rozmodla się w obłokach; w takie dnie nie można usiedzieć w domu, a trzeba iść kędyś, bez celu, polem, wśród cichych niw, w gaje, gdzie leszczyna zielone rozpina namioty, gdzie kraśnieją kiście kaliny, kędy chmiel nad sennym zdrojem przerzuca wiotkie girlandy.

Wanda Dalecka.

(C. d. n.).

Karykatura pomnika Murawiewa w Wilnie.



Właściwie niewiadomo, co jest karykaturą czy ów pomnik, który w rzeczywistości stanął przed kilku laty w Wilnie wśród tryumfalnej wrzawy, jaką podniosła prasa rosyjska — czy też odpowiedniejszym dla kata Litwy byłby pomnik, który w formie karykatury rysunkowej pojawił się równocześnie z odsłonięciem tamtego pierwszego. W dzisiejszym numerze na innem miejscu, podał prof. Dybowski epizod moskiewskich rządów na Litwie — jego ilustracją najlepszą i ponurem wspomnieniem całego okresu cierpień Litwy — jest rysunek Murawiewa na stosie czaszek niewinnie przez niego pomordowanych ofiar, a na tle szubienic i strasznego spustoszenia kraju.

Ostatni uśmiech miłości Juliusza.

Poznał ją pod koniec powstania listopadowego nad brzegiem modrej Elby. — Wionęła nań czarem bujnej urody, a emaliowane złotem kruże skarbca saskiego rzucały na jej posągową postać blaski tęczowe... Ale burze życia rozwiały przelotne to wrażenie poety. Spotkali się znowu po latach dziesięciu w Paryżu, gdzie — jak powiada Słowacki — „bardzo miłe przepędził z nią miesiące“ zimowe, ale chłód wiejący z tych słów pisanych do matki, przed którą nie miał tajemnic, świadczy, że nie obudziło się w nim głębsze uczucie dla pani Bobrowej. Dopiero pierwsze promie-

nie wiosny 1841 r. i mocniej palący błękit oczu pani Joanny wytrąciły go z równowagi. „Szczęśliwszy jestem, niż kiedykolwiek w życiu — spowiada się matce w lecie tegoż roku. — Serce moje długo zimne i ostygłe doznało teraz wiośnianych wzruszeń, kochałem się — szalałem...“ Po chwilach upojenia obchodzi już stacje krzyżowej drogi miłości. W listach do Niedźwiedzkiego przeklina owe sidła, w które się sam zaplątał, goniąc za „bańką mydlaną, która się nazywa miłością“ Ale poleciał za nią do Frankfurtu, nad Men, gdzie przebywała na wilegiaturze. Uspokoił się na chwilę, czując przyspieszone tętna jej serca. „Jestem teraz rozsądniejszy — pociesza swego towarzysza — i ona także. Niech Opatrzność ma nas w swojej opiece“. Nastała chwila rozłączenia — Słowacki wracać musiał do Paryża wyzwany na pojedynek i na rozpalonym od skwaru asfalcie paryskim wydało serce poety rozdzierający krzyk boleści...

Ale kiedy w nim burzyły się wszystkie moce i bliskie były wybuchu, pani Bobrowa magnetyczną siłą pamięci i nieprzygasłych uczuć zwracała się w stronę twórcy „Nieboskiej“. Pozwalała wszakże na zbliżenie przyjaciela ubóstwianego przez się Zygmunta. Siostrzaną dłonią ukołysała wzburzone fale uczuć Juljusza, przeprowadzając je przez otchłanie piekielne do ukojenia portu. Zanim jednak wdzięczny poeta podniósł chorągiew „wielkiej i pokornej przyjaźni“ dla pani Joanny, znosić musiał Tantalowe udręczenia. Może w takiej chwili napisał do swego rywala, przenikliwym wzrokiem poety i kochanka sięgając pod jego serce.

„Nie kalecz wiecznie okaleczonych — odpowiada mu Krasiński z Rzymu 16. marca 1841 — ty sam krwią i ranami okryty... Bądź raczej jak anioł światła i dźwięku — rozwiedź tęczę cichą a promienną nad tymi, którym życie było goryczą“. Dla tej najsłodszej z dusz, którym ta ziemia jest padołem łez, potrzeba — zdaniem Zygmunta — nadewszystko miękkiej ręki, silna dłoń męska mogłaby białe jej paluszki przełamać. Na żale Juljusza, że twórca Irydjona nie chciał, czy nie umiał, użyć swej potęgi nad jej sercem, oświadcza Zygmunt, że on ze wszystkich sił ducha bronił się — niestety bezskutecznie — aby tchnieniem zmysłowości nie splamić skrzydeł gołębicy, ostrzega więc przyjaciela, by jej nie popychał w przepaść swą namiętnością, ani nie bawił się w miłostki, lecz kochając szanował nieszczęśliwą. Kilkakrotnie go upomina, by nie żądał od niej miłości „ziemskiej“, bo czara szczęścia pęknie im w dłoniach za pierwszem dotknięciem... Jeszcze w liście z dnia 28. lutego 1842 r zaklina opętanego namiętnością Juljusza, aby „zrzucił z piersi swej nogi Rubensowej Madonny“. Z pożółkłych od starości kart korespondencji braci po lutni, bije rzutna fala krwi Juljusza. Po uniesieniach idealnej miłości, w jakich szybowała podobłocznych lotów wyobraźnia twórcy „Szwajcarji“ zapragnęło serce poety ziemskiego szczęścia. Był to — jak słusznie zauważono — ostatni poryw ludzkiej natury w poecie. Nazajutrz zapadnie w nieprzejrzane głębie mistycyzmu... Odezwie się jeszcze dnia 4. maja 1842 piorunującym wierszem Do niej:

Zleciałbym na cię jak kaskada z góry,
Porwał i rzucił w przepaść — i sam skoczył...

Ale uspokoi się i napisze te oto słowa pożegnania: „Żegnam Panią! Nic w mojem sercu nie ma, coby się jej mogło przydać... Jam ciągnął za Panią dawny jęk przeszłości, ze mną do salonu wchodziło wspomnienie (Zygmunta), boleść dawna.. Lepiej że się rozstaniemy, że ja zniknę, jak gdybym nigdy nie żył. — Biada ludziom, co nie zrywają prędko ostatnich bolących łańcuchów... O dość już — kończy poeta — trzeba się rozstać i odejść ze smutną cichością odchodzącego człowieka. Żegnaj mi Pani do jaśniejszych czasów...“

Nie mógł jednak przezwyciężyć się, aby nie odwiedzić pani Bobrowej za jej przyjazdem do Paryża, a po odlocie „pięknego anioła“ patrzy z utęsknieniem na okna jej mieszkania, zasłonięte firankami, nad wyraz smutne i puste. Zda mu się, że chodniki Paryża płoną pod jego stopami jak podłoga piekielna. Wstąpił do kościoła — a oto kolumny katedry jakby schylały przed nim czoła swe litośnie, a stojąca na frontonie św. Magdalena — powiada poeta w liście do ukochanej z 3. czerwca 1842 r. — zda się płakać nie swoich, ale moich grzechów“. I uderzając się w piersi woła:, Zaprawdę, grzeszny jestem i pokutujący. Lecz po kilku dniach widzimy go znów w zaprzęgu miłosnym, u wozu swego bóstwa — upokorzył się i błaga złotowłosą, by rzuciła błękitnemi oczyma w stronę Paryża „niech mi od tego spojrzenia błyśnie i rozświęci się na chwilę ciemne powietrze“. W murowanych klateczkach swego mieszkania w Paryżu, przy ul. de la ville l'Eveque 10, słyszy szelest jej sukni, echo jej kroków, cichy szept mowy anielskiej. Żeglując na pełnem morzu, z rozpuszczonemi żaglami wyobraźni, żalił się pani serca, że nie wyprowadził „całego wojska duchów na zdobycie twierdzy“. Spodziewał się ją „pokonać“ i gotów był odważyć się na wszystko, choćby „statek jego doznał rozbicia...“ Wreszcie zanosi ostatnią błagalną prośbę do niej: „Gdybyś Pani chciała być trochę dobrą i litośną — jak święta!... Ostatnia to moja skarga, bo mi już wsaystkie inne nie pomogły — ostatnia i wiem, że próżna...“ (Paryż 9. czerwca r. 1842). Tak niedawno burzyły się w nim wszystkie potęgi miłości, dziś obwiniał się już tylko, że leżały w sercu jego spokojnie, bo lękał się wyprowadzić je do walki — powoli usuwa się to wszystko w dal, poza granice jego świata. „Teraz wieczny odpoczynek sercu mojemu — są słowa listu poety do Bobrowej — niech światło wiekuiste świeci mu...“ Ale i wtedy jeszcze nie może się powstrzymać od prośby: „i na ten cień cyprysowy, gdzie ono leży, spójrz czasem pani z uśmiechem...“ Może w takiej chwili, kiedy do snu wiecznego układał pragnienia swej „ziemskiej“ miłości, ujął za pióro, aby ją obmyć w „słów ognistych deszczu“. Biczykiem ciętej ironji chłostając w Beniowskim ciemnych duchów stada, z rozrzewnieniem mówił o kobiecem sercu, które

„przez litość siostrzaną“ czuwa nad nim jak złoty duch. Cały skarbiec klejnotów, wszystkie czary królestwa piękna i miłości rozlał w swych poematach dramatycznych z niegasnących o niej wspomnień. Rysy jej fizjonomji mają i Judyta w Księdzu Marku i księżniczka Salomea w Śnie srebrnym i Idalia w Nowej Dejanirze, a nawet na kartach Króla Ducha przewija się jej postać wzruszająca do głębi zranione serce poety.

Miłość Juljusza przebywała ostatnie etapy swego rozwoju: Od wybuchów szaleństwa przez ognie piekielne do bram niebieskich. Z lubością rozpamiętywa poeta dzieje tego „wściekłego“ kochania od pierwszego chrztu z wody aż do chwili, kiedy zatopionemu w pracy ducha mistykowi przeobrażona w jednego z kolumnowych duchów szeptała ciche, ledwie dosłyszalne wspomnienia. Spowiadał się z przemian tego świętego ognia w liście z 6. czerwca 1844 r.: „Przeprowadziłaś mnie pani przez podwodne otchłanie śród gwiazd morskich, nimfom świecących, żem zapomniał o ziemi i przyrzekł żyć w ciemni, śród fal kołyszących ducha mego. Po takiej próbie zbliżyłem się znów do Pani, pełny milczenia i zaklętej we mnie miłości braterskiej“. I w tem uczuciu przyjaźni, dusz braterstwa trwał niezmiennie. Lubo nie powiązał już z swym „niespokojnym“ aniołem żadnej nadziei, a ona mu nowej gwiazdy nie zapali, to przecież stąpając po ciernistych ścieżkach ewangelicznej miłości z rozrzewnieniem wspominał ten „jedyny dom, gdzie się chronił z taką ufnością, gdzie szedł z taką wiarą po trochę ciszy i współczucia“. Z sercem, które nie przestało tęsknić, patrząc smutnie przy blasku brylantowym słońca na zamknięte głucho okna jej mieszkania w Paryżu, pragnął, „aby się zjawiła bodaj na dzień jeden przy nim...“ Ze „słonecznikową pamięcią serca“ odczytywał jej listy, droższe nad wszystkie klejnoty i nad wszystkie harmonie dźwięczniejsze. Oczyma duszy widział ją rzucającą się jak płotka w kryształowej rzece litewskiej, gładzącą złociste włosy z takim gestem, jakby je chciała porwać. „Nie opuszczaj mnie Pani — błaga pod koniec listu, pisanego do niej z Paryża dnia 6. czerwca 1844 r. — nie rwij tej cudownej niteczki, która podług Pani związek nasz stanowi, i bez nieświętości zerwaną być nie może. Ile razy pociągniesz Pani za tę nitkę, to odezwę się jak dzwonek nawet po wiekach...“ Z nad fal błękitnego oceanu, na pustych i wietrznych polach wybrzeża w Pornik, ściga ascetę zatopionego w ofierze ducha, obraz jej, szepcąc dawne wspomnienia. W jednej z najodludniejszych chwil życia, w ranek listopadowy (1844 r.) widział na widnokręgu pól, czarnym wrzosem okrytych, twarz jej jaśniejącą i usta nawpół otwarte, poznał nawet jej suknię żałobną, w złote łamiącą się fałdy, w jakiej mu się pokazała w Paryżu. I gdy mroźny wicher styczniowy (1845) pędził czarne kłęby mgły z dymem zmieszane ponad Paryżem, kierował poeta-mistyk z zaświatów wzrok swój w stronę pól Elizejskich, „gdzie mu dawniej jaśniej było“ i marzył o siostrzanej duszy...

Henryk Biegeleisen.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Przewodnik po Warszawie, opracował (część historyczną i opisową Starego Miasta) Wiktor Gomulicki. Lwów, Księgarnia Polska B. Połonieckiego. Nareszcie, dzięki lwowskiej firmie nakładowej otrzymała Warszawa dobry przewodnik, z wykazem swoich osobliwości, zabytków, rzeczy godnych widzenia. Jak każde wielkie miasto zmienia i Warszawa bardzo często swoje oblicze, a ci co obecnie stamtąd przyjeżdżają, twierdzą, że ta zmiana dzisiaj idzie na gorsze. Nawet już w Przewodniku, w szczegółowym dziale informacyjnym znaleść można szereg miejsc rozrywki, jakich wybredna Warszawa do niedawna jeszcze nie znała. Podobno kosmopolityczne piętno wyciskać się poczyna i na stolicy Polski, a w niem „Warszawa wczorajsza“ tonie niepowrotnie.

Ale co niknie z życia, w pieśni się zwykło odradzać, a taką pieśnią jest opis Starej Warszawy pióra Wiktora Gomulickiego. Z początkiem siedmnastego wieku, w chwili również przełomowej dla rozwoju Warszawy znalazł się niejaki Adam Jarzembski, który w zabójczo lichych rymach, ale bardzo szczegółowy zostawił opis Warszawy „z kościołami, pałacami, z dworami z ogrodami, z okolicznościami“. Przed stu laty, za czasów pruskiego panowania w Warszawie znalazł się drugi gaduła Antoni Magier, który wyśpiewał wszystko, co wiedział o Warszawie będącej na przełomie dwu wieków i dwu okresów życia.

Trzecim niechaj będzie p. Wiktor Gomulicki, który przyszłości zostawia „wczorajszą Warszawę“ nie w rymach Jarzembskiego, ani w gadulstwie Magiera, ale w pięknem, historycznem przedstawieniu, któremu głęboka miłość grodu skrzydeł dodała, wielka znajomość miasta, kronikarskiej gawędy, a talent autora fejletonowej lekkości, skrzącej dowcipem, pieniącej się wesołością, tą typową wesołością Warszawy, która jej nie opuszczała nawet w najczarniejszych chwilach.

Każdy, kto ma zamiar zwiedzić Warszawę, nie obejdzie się bez przewodnika p. Gomulickiego, bo jest w nim typ i charakter warszawski, jest to, co ilustruje miasto i zaznajamia z niem prawie tak samo, jak dłuższy pobyt. Po za tem jako krótkie a barwne i malownicze kompendjum historji Warszawy, z inwentarzem szczegółowym wszystkich jego zabytków historycznych i kulturalnych jest „Przewodnik“ dziełem trwalszem, podręcznikiem dla każdego Polaka, który stolicę ziem swoich znać przecież powinien dokładnie.

W szczegółowem opisie kamienic i ich historji są szczegóły, z których każdy starczyłby na malowniczy obrazek. Takie naprzykład spotkanie Matejki z właścicielem słynnej, odwiecznej winiarni Fukierów na rynku Starego Miasta. „Mistrza, który wczesnym rankiem wybrał się na zwiedzenie „Starego Miasta“ napotkał wypadkiem sędziwy Fukier, również ranny ptaszek. Poznawszy, pozdrowił, w objęcia, chwycił i do siebie zaprosił. Niebawem Matejko znalazł się przy stole, w otoczeniu całej rodziny kupca. Na stole zjawiła się butla dziwnego kształtu, grzybami obrosła, z przywiązaną do szyjki metryką pergaminową, stwierdzającą, iż z wieku XVI. pochodzi. W butli było wino „hetmańskie“ największa składów Fukierowskich osobliwość. Potem artysta zaproszony został do obejrzenia piwnic, rzeczy godnej zaprawdę widzenia.“

Takich obrazków mnóstwo jest rozsypanych po książce, która skutkiem tego staje się istotnie i duchowym także przewodnikiem po stolicy królów polskich.

Fr. Jaw.

Z „Drukarni Polskiej“. Nakładem „Kurjera Lwowskiego“.